

## W KRĘGACH GROTESKI i „GROTESKI”

Nowa premiera w warszawskim Teatrze Kameralnym — „Chłopcy” Grochowiaka — to popis aktorów. Tadeusz Fijewski stosuje środki pozornie proste, choć wyrafinowane; każdy jego gest i drgnienie twarzy, intonacja i odcień milczenia są tak zharmonizowane, że niepodobna zapomnieć owego melancholijnego pana Kality, elegancko ubranego (wbrew wskazówkom tekstu), małomównego, gorzkiego, ukrywającego bunt, który tym gwałtowniej wybuchnie, ileż tu aktor potrafi powiedzieć, jak swą postać określić samym sposobem trzymania głowy, czy rozpaczliwą determinacją, z jaką Kalita robi swej żonie wyznanie — obojętności. I ileż jest pomysłowości w szybkich kroczkach, jakimi podbiega do okna, gdy zaniepokojenie przeważa nad ociężałością artretycznego ciała.

Może najbliższa temu stylowi jest Justyna Kreczmara jako Narcyza, ukazująca skomplikowaną mentalność ambitnej i bezwzględnej kobiety, zdolnej do gry, dobrze znającej swe słabości. Rozumiemy, że ta własność złożoności psychiki stwarza sieć pajęczą, z której się tak trudno wyzwolić małżonkowi o swobodzie małżonkowi.

Inne role są bardziej proste, ale to nie znaczy, by były mniej wycienione. Siostra Przełożona, grana przez Zofię Małynicz — to mądra i przenikliwa osoba,

udająca nieświadomość, ale humorem i zaskakującymi reakcjami górująca nad otoczeniem. Przemówienie podczas kolacji to majstersztyk aktorskiego kunsztu!

Alicja Pawlicka uroczko wczuwa się w psychikę ambitnej i surowej poskromicielki, która swą młodość przystraja w powagę wobec ludzi, choć mogłaby być ich wnuczką, a swój urząd wykonuje bez cienia zrozumienia innych ludzi, bez śladu uśmiechów. Jak znakomicie jest na przykład wykonane kłaśnięcie w dłoń, którym ta rozkazodawczyni punktuje swe zarządzenia.

A ile ślicznego żalu i niepokoju znalazło się w rysunku aktorskim Marii Zabczyńskiej, na przykład gdy stłumieniem lez poprzedza wyniosłą odpowiedź na cyrkiere odezwanie się Kality. I nawet małe role w tym spektaklu zostały wybornie zagrane: rozdzarty sprzeżnościami Profesor (Tadeusza Białoszczyńskiego), Wiktoryna pięknie cieniująca język nowoczesnej gosposi i jej dyskretną sympatię do starszego lowelasa, który ją zaczepiał (Jolanta Czaplinska) czy dwaj zaledwie przez autora naszkicowani reńcisci (Leon Pietraszkiewicz i Henryk Bąk).

Mamy więc przedstawienie na pewno godne obejrzenia; przez reżyserkę, Wandę Laskowską, inteligentnie poprowadzone, z godną pochwałą dyskrecją, z wyczuciem nadanego tutaj rytmu. Wolno sobie jednak wyobrazić realizację zupełnie inną, gdzie role starców graliby młodzi aktorzy, zaznaczający raczej paradoksalną i powrotną dziecięcość, niż powagę przeżyć. Jednym z bardziej charakterystycznych momentów utworu wydaje mi się ten, gdy sędziwa pensjonariuszka przytulku, ujrawszy bójkę między kolegami, woła: „Chłopcy!”. O tę bowiem niewczesną chłopięcość, o walkę przeciw starości, o powrót do nieodpowiedzialności, chodzi w tej sztuce.

Wszystko w tym kierunku pcha pensjonariuszów przytulku: ich życiowe wykołowanie, wolność od codziennych trosk, koleżeńska atmosfera zakładu, sposób traktowania, wreszcie ów naturalny instykt starszego człowieka, który mu się nie pozwala oswoić z myślą, że — już nie jest młody.

I dlatego przypuszczam, że jakaś próba groteski, wzbudzącej nie skrępowanej zabawy, prowadzonej w żywiołowym tempie, stanowiłby równie ciekawą oprawę tej sztuki. Więcej by to nam powiedziało o problemach starości i instynkcie życia, niż interesujące, ale w tym wypadku zbyt poważne psychologizowanie. Zapewne, że byłoby to bardzo trudne i jedno przeciągnięcie struny — mogłoby wszystko zepsuć.

Następnych dni oglądaliśmy gościnne występy krakowskiej „Groteski”, kierowanej przez Zofię Jaremową, obchodzącej 25-lecie swego istnienia. Jest to teatr oryginalny i jedyny w swoim rodzaju, oparty na „współistnieniu” żywego aktora, przeważnie przybranego w masce, i laleczki. Oglądając dwa pokazane przez ten zespół spektakle, myślałem o odkrywczym rozszerzeniu perspektyw, jakie daje „Groteska”. Szczególnie „Janko Muzykant”, opracowany i wyreżyserowany przez Zofię Jaremową, działa i muzyką i przeplataniem dwóch planów przestrzennych i grą świateł, i ruchem, i dowcipem, i tanecznością, i pantomimą. Na planie górnym grają laleczki. Ich ruchy i gesty są dziełem kierującego nimi lalkarza, a więc stają się środkiem aktorskiej ekspresji. Nie darmo powiedziała wielka aktorka, Emmanuelle Riva, że marionetki uczą ją płakać, cieszyć się, a nawet — kochać. W dobrym teatrze lalkowym, jakim jest „Groteska” aktor najczulsze drgnienie swej duszy umie przekazać poruszanej przez siebie laleczce.

W tłumie chłopczych dzieci w „Janku Muzykancie” plówce czupryni prześlicznie migają w tańcu; między nimi — jakaś główka wzruszająca czarniawą czy rudą. Za to w części drugiej ceremonie „dobrego towarzystwa”, sztywność kawalerów i panien, stanowią równie ekspresyjny kontrast. Na dolnym planie — „żywego aktora” — głowy chłopięce naturalnej wielkości, muzykanci, baby, karbowi, dygnitarze więcej — celowo ograniczeni w ruchu, jakby zastygli sprowadzeni zostali do miarowego ruchu głowami. Nad wszystkim — niebo rozświetlone, jak w filmie! I bajeczna gra kolorów w tym widowisku, nad którego plastyką czuwało troje świetnych scenografów: Lidia Minticz, Jerzy Skarżyński, Kazimierz Mikulski.

Drugi spektakl „Groteski”, który nam pokazano to „Farsa o śmierci, która o mało nie umarła, czyli wędrówki Mistrza Kościeja” Ghelderode’a, w reżyserii Stanisława Rychlickiego. Tu znów muzyka, skomponowana przez Zygmunta Koniecznego, odgrywa ogromną rolę. Jej rytm, bachanaliowy, punktuje nastrój, w którym samą śmierć, w tajemniczym kraju „Breughelandii”, niemal „na śmierć” spojono i rozbrojono. Niektóre piękne i śmiałe pomysły plastyczne scenografki Joanny Braun (np. fantastyczna figura Stracha, pod którą się kryje Śmierć — Kościej) dają miarę artyz-

mu. Szkoda, że niedociągnięcia w operowaniu głosem niektórych aktorów i rozsadzające tę baśń, chyba już mało Breughelowskie chwytły „turpistyczne” osłabiają wrażenie zamiast je spotęgować. Mimo to, wychodzimy oszołomieni i porwani wyobraźnią artystów „Groteski”. To co mniej przekonywujące szybko znika — przed tym, co ciekawe i nowe.

Teatr Klasyczny wystawił sztukę zmarłego przed 34 laty pisarza hiszpańskiego, Ramona Marii del Valle — Inclana „Rogi porucznika Astete”. Zupełnie inny to twór niż „Divinas Palabres” tego autora, pokazane przed kilku laty w Warszawie przez zespół poznański. Choć między napisaniem tych sztuk minęły tylko dwa lata (1919, 1921) odgradza je różnica stylu i tonu. Bardziej wizyjny w „Boskich słowach”, groteskowo-makabryczny w „Rogach”. Wspólne są tylko obsesje okrucieństwa i niepokoju, oraz zamilowanie do świata, wysadzonego poza normalne kręgi. Niezwykła, trochę przypominająca „Woyzecka” Büchnera, historia młodego oficera, nekądanego zazdrością o piękną żonę, torturowanego anonimowymi donosami, postawionego w sytuacji bez wyjścia przez mentalnego garnizonowego „honoru”, mogłaby zabrzmieć banalnie. Brak tutaj wizji tak ostrej, jak ta która tworzyła poezję „Boskich słów”.

Słusznie więc reżyser tego utworu w Teatrze Klasycznym, Piotr Piaskowski, nadawał tu — zgodnie z zamysłem samego autora — ton groteskowy. Niektóre postacie wyskakują z podziemi, jak z pudła, inne tańczą na pointach jak w cyrku, pieśń zapowiada perypetie akcji i absurdalne zakończenie. Znakomite plastycznie pomysły scenografa, Daniela Mroza (np. kukła żołnierza, asystująca spektaklowi, wykorzystanie kilku planów pionowych), jeszcze podnoszą temperaturę wrażeń.

Ale jakże trudno się do owego groteskowo-balladowo-akrobacyjnego tonu dostosować aktorom! Na ogół się to powiodło. Joanna Jedlewska, szczególnie w pierwszej części, stosuje środki bogate, różnorodne, zaskakujące, dowcipne. Wanda Stanisławska-Lothe pięknie wyolbrzymia groźność malomiejskiej plotkarki, czyniąc z niej żywiol. Ileż siły w tej grze bardzo trudnej, rozszczępionej przez insecnizatora na odpowiadające tej postaci echa masek. Krystyna Chmielewska gra dziecko środkami nierealistycznymi. Jest niemal lalką z magazynu!

Wykonawcy ról męskich jakby nieco „wyskakują” z przyjętej konwencji. Marian Opania przeżywa katusze bezradności, zazdrości, rozpacz i niepokoju, Wiesław Drzewicz za mało mi się wydaje uwodzicielem, o pół tonu obniża postać flirtującego Pachequina, zbyt nikły akcent kładzie na przekorny i zuchwały dowcip.

Role epizodyczne błyszczą zato niezwykle tonem. Choć nigdy nie widziałem Hiszpanii, coś z jej powietrza, dusznego i fantastycznego, coś z jej poezji i krajobrazu wyczułem w spektaklu, Vall Inclan — to chyba nie tylko rówieśnik Lorci. Także — i poprzednik Arrabala.

WOJCIECH NATANSON

Popis aktorskiej gry: Tadeusz Fijewski i Justyna Kreczmara, jako małżeństwo w sztuce Stanisława Grochowiaka „Chłopcy” wystawionej w Teatrze Kameralnym

Fot. Fr. Muszkowski

